Szanowni Państwo

Jedną z podstawowych funkcji kina jest to, że daje nam możliwość zbliżyć się do ludzi, których nie mamy możliwości poznać w prawdziwym życiu. Pokazuje nam różne rasy, nacje, klasy społeczne, ale też osoby, które mierzą się z problemami nam obcymi. Dzięki temu X muza uczy empatii, umożliwia nam bowiem na dwie godziny wejście w czyjeś buty. Na czas projekcji stajemy się bohaterem, czujemy to, co on, doświadczamy jego bólu, ale też i radości. Ekranowi ludzie stają się nam na tyle bliscy, że po wyjściu z dobrego filmu mamy wrażenie, jakbyśmy wychodzili ze spotkania ze znajomym.

Ta funkcja jest szczególnie ważna, gdy filmowcy zachęcają nas, by zapoznać z wyrzutkami i odszczepieńcami. Ale nie tymi, którzy decydują się pozostać na uboczu z własnej woli, tylko których zmusza do tego los. Kino to przecież przestrzeń laboratoryjna, w której bez poczucia skrępowania możemy dowoli studiować zachowania i reakcje, których nie rozumiemy. Nawet gdy film opowiada o ludziach, których w prawdziwym życiu się boimy. Na ekranie są niegroźni i nie odczuwają zażenowania wywołanego tym, że tak dokładnie ich studiujemy i przypatrujemy się ich zachowaniom. Dzięki temu uczymy się i rozwijamy, oswajamy lęki i uprzedzenia.

Dlatego tak istotne z punktu widzenia społecznego współżycia wydają mi się przypadki, gdy filmowcy opowiadają o osobach z różnej maści dysfunkcjami. A taki jest tytułowy bohater filmu „Vincent chce nad morze”, który cierpi na zespół Tourette’a. Zespół, o którym wiemy coraz więcej, także dzięki szeroko zakrojonym akcjom społecznym. Możecie Państwo pamiętać, że premierze filmu w Polsce - jesienią 2013 roku - taka akcja też towarzyszyła. A jej celem było przede wszystkim odarcie tej wrodzonej choroby ze stereotypów. Wciąż bowiem dużej części społeczeństwa ów zespół kojarzy się z ludźmi, którzy nie panują nad tym, co mówią - przeklinają, obrażają, mówią nieprzyjemne rzeczy. A tymczasem to tylko jeden z wielu objawów tego schorzenia neurologicznego, które mocno się różnicuje i należy je badać i przedstawiać indywidualnie.

Niemieckiemu reżyserowi Ralfowi Huettnerowi oraz jego krajanowi - scenarzyście i odtwórcy tytułowej roli - Florianowi Davidowi Fitzowi również przyświecał cel związany z obalaniem stereotypów. Zwróćcie Państwo uwagę, jak są skonstruowani bohaterowie w jego filmie. A mamy tu całą kawalkadę oryginałów. Jest bowiem i Vincent z zespołem Tourette’a, i Marie, która ma problem z zaburzeniami odżywiania, jak i odznaczający się ostrą nerwicą natręctw Alex. Rzecz jednak w tym, że o ile na początku filmu faktycznie te ich dolegliwości rzucają się w oczy, o tyle bardzo szybko o nich zapominamy, a bohaterowie - choć ich dysfunkcje nie znikają jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki - stają się dla nas tacy sami, jak w dziesiątkach innych filmów drogi.

Dysfunkcja przestaje być tożsamością bohaterów, a staje się jedynie cechą, taką samą jak kolor włosów, odcień skóry czy wzrost. Nie definiuje nikogo, przestaje być tym, od czego wychodzimy. Zwróćcie Państwo uwagę, jak twórcy ten efekt osiągają, pozwalając nam dowiedzieć się szczegółów z życia postaci. Vincenta z biegiem ekranowego czasu prędzej nazwiecie ambitnym, spontanicznym, mądrym, a może nawet upartym i dziecinnie romantycznym, niż „cierpiącym na zespół Tourette’a”. Bohaterowie mają i pozytywne i negatywne cechy, co twórcy podkreślają, bo nie chodzi przecież o idealizowanie nikogo. Dysfunkcja nie czyni przecież nikogo z automatu dobrym (ani tym bardziej złym), nie dodaje punktów za pochodzenie. Bardziej chodzi o to, by pokazać, że to, co dla nas, widzów, często zamyka się pod etykietką owej dysfunkcji w rzeczywistości zawiera w sobie cały arsenał cech i doświadczeń. „Vincent chce nad morze” uczy nas to odkrywać.

Nie byłoby tego wszystkiego, gdyby nie wspaniała gra trójki młodych aktorów, którzy odznaczają się niesamowitą wiarygodnością i naturalnością. Zagrać osobę z dysfunkcją to zawsze ogromne wyzwania: zbyt łatwo można kogoś oddać prześmiewczo, przerysować. Chociaż „Vincent” to film lekki, stawiający na humor, nie ma w nim mowy o naruszaniu granic, w czym pomaga dobrze postawiony kontrapunkt - stanowią go opiekunka zakładu, z którego ucieka Vincent z ekipą, oraz ojciec chłopaka. To oni w tym filmie muszą odkryć, kim są ludzie, jakimi mieli się opiekować i uświadomić sobie błędy, jakie popełnili, gdy zwątpili, że osoby z dysfunkcjami mogą same o sobie decydować.

Siła „Vincenta” jest też niewątpliwie to, że - niczym główny bohater przed ograniczeniami - ucieka przed hollywoodzkim patosem i i cukierkowością. Reżyser podkreśla w wywiadach, że nie interesuje go litość ani upiększanie swoich bohaterów. Zależało mu jedynie na pokazaniu, że są kimś znacznie więcej niż anorektyczką, nerwusem i człowiekiem z zespołem Tourette’a. Ale nie oszukuje nas przy tym, że wszystko będzie dla nich dobrze.

Pytania do dyskusji:

1. Jaki obraz dysfunkcji wyłania się z filmu?
2. Jak podoba się Państwu konwencja, w którą film ubrano?
3. Jak się Państwo czuliście, obcując z takimi bohaterami?
4. Jak oceniacie poczucie humoru twórców?
5. Czy film wydał się Państwu filmem z misją?
6. Jak odebraliście pomysł na zabawę w uciekających i ścigających?
7. Czy film wydaje się Państwu iść w kontrze do Hollywood?
8. Czy Państwa zdaniem film wykonuje pracę społeczną?

Zapraszam do dyskusji na forum <https://portalfilmowy.defacto.org.pl> oraz pod adresem ikfon@defacto.org.pl od 19.07.2021 do 1.08.2021

Szczególnie zapraszam na premierowy pokaz filmu na <https://portalfilmowy.defacto.org.pl> dniu 19 lipca o godz.19.00 a bezpośrednio po filmie o 21.00 na dyskusję ze mną na BBB.

Artur Zaborski